

## Refleksje o samorządności i obywatelstwie.

Zanim przejdę do tematu, chciałbym zacząć od niezbyt optymistycznego pytania: czy sądzą Państwo, że Białorusi uda się uniknąć losu Bretanii? I jeśli – co nie daj Panie Boże - walka o język z dominującym imperium zostanie przegrana, jak walka o język w Irlandii, to jednak w walce o suwerenność i wolność obywatelską Białoruś nie pójdzie drogą Bretończyków, lecz Irlandczyków? Dalej, czy można oczekiwać, że Białoruś nie stanie się rosyjską Bretanią? Obecny rząd, a przede wszystkim obecny Prezydent, wydają się być bardziej przywiązani do języka wschodnich sąsiadów niż do własnego, a odcinanie się od Europy i wchodzenie w bliskie związki z Rosją sugerują niezbyt optymistyczną odpowiedź na powyższe pytania. Przeciwnicy Łukaszenki i to zarówno ci z lewa, prawa i demokratyczno-liberalnego centrum - wszyscy na swój sposób - starają się powstrzymać procesy „bretonizacji”. Dla jednych walka o język jest integralną częścią walki o suwerenność, dla innych sprawa języka nie odgrywa tak wielkiej roli. Jednak coraz większa część opozycji jak i obecnego elektoratu Łukaszenki zaczyna rozumieć długofalowe konsekwencje polityki zamkniętych drzwi odcinającej Mińsk od Europy.

Myśląc o losach Celtów, czyli Irlandczyków i Bretończyków, nie mogę uniknąć wrażenia, jakie powstaje przy oglądaniu map obrazujących zmiany na przestrzeni tysiącleci. Gdybyśmy spojrzeli na Europę ostatnich dwóch tysięcy lat, posługując się zespołem map pokazujących co 500 czy 300 lat zmiany, nie tylko państwowych granic, ale również religii, języków i narodowości, to byłibyśmy zdumieni brakiem stabilności, znikaniem wielowiekowych zapisów i pojawianiem się nieznanymi przedtem nazw. Może nas zdumiewać wypadanie z użytku języków wielkiej literatury, jak prowansalski lub staro-białoruski, nie mówiąc o łacinie, bez której nie byłoby europejskiej cywilizacji. Możemy być też zaskoczeni znikaniem na wieki etnicznych nazw lub cieszyć się ich nagłym „zmartwychwstaniem”. Rzeczywiście narodowości, które przez bardzo długie stulecia wydawały się pogrążone w zimowym śnie, w bardzo krótkim czasie stawały na nogi i brały decyzje o swoich sprawach we własne ręce: jak Słowacy, Słoweńcy, Łotysze czy Estończycy.

We współczesnych państwach demokratycznych, ruchy narodowościowe wciąż sięgają po większy zakres autonomii i samorządności: Baskowie i Szkoci i w mniejszym stopniu Walijczycy oraz niemieccy autochtoni na Opolszczyźnie.

Rosja i Chiny - wielonarodowościowe imperia rządzące arbitralnie - są mistrzami w „załatwianiu” tych spraw rozumiejąc, że jest to bomba, która najczęściej wybucha w momentach największego kryzysu wyczerpującego siły państwa. Wymienione imperia są mistrzami procesów jednoczących, scalających, upodabniających. Ich wzorem są, z jednej strony międzynarodowy wspólny „kocioł” – USA, a z drugiej Bretania. Tyle, że ani Chińczycy, ani Rosjanie nie godzą się z utratą dominacji i narodowej kontroli, więc ich manewry *a’la* USA są ograniczone.

Kreml od kilku wieków prowadzi walkę o podporządkowanie sobie ziem i narodowości niegdyś wchodzących w skład Rusi Kijowskiej. Militarnej agresji towarzyszyła zawsze walka o symbole i historie. Nie czas ten wątek rozwijać, ale warto przypomnieć przeciwstawne sobie: opowieść o Białym Kołpaku, (przenoszenie się symbolu prawdziwej wiary z Rzymu do Bizancjum, a następnie do Nowgorodu) i

uderzająco podobna teoria Trzeciego Rzymu, ale tym razem umieszczonego w Moskwie. O ile idea Trzeciego Rzymu uzasadniała dominację moskiewskiego kościoła nad prawosławiem, to późniejsza wizja trzech kochających się siostr” Rosja, Małoruś, Białoruś, uzasadniała włączenie i podporządkowanie młodszych dziewcząt tej starszej dbającej o nie Moskwie. Po zawładnięciu już pod koniec XVIII wieku większości terytoriów Rusi, oficjalny St. Petersburg wzmacnia swój ton obrońcy i protektora całej słowiańszczyzny i całego prawosławnego świata. Nic więc dziwnego, że wychowana w luteranizmie, „wolteriańsko oświecona Semiramida Północy”, z taką zawziętością tępiła grekokatolików na ziemiach zajętych w czasie trzech rozbiorów Rzeczypospolitej. Z politycznych względów jest bardziej wygodne dla wielkorządców Rosji, zarówno w przeszłości jak i dzisiaj, aby większość słowiańskich narodów wchodziła w obręb prawosławia i zwracała uwagę na zalecenia rosyjskiego prawosławnego kościoła. Ten aspekt religijnej wspólnoty i duchowej zależności widoczny jest w historii, a także w dzisiejszej polityce. Putin, chociaż wciąż nieochrzczony, uczestniczy w najważniejszych uroczystościach religijno- politycznych i tak samo jak Łukaszenka nazywa się człowiekiem prawosławnej tradycji.

Prawosławie, od czasów Piotra I bezpośrednio podporządkowane władzom rządowym, niezależnie od swej woli, służyło Rosji jako tarcza ochronna „od obcych wpływów” i jako uzasadnienie rozszerzania obszarów władzy na zachód i południe. Agresja w kierunku południowym wyzwalała prawosławnych z niewoli otomańskiej. Agresja na Zachód przywracała prawdziwą prawosławną wiarę Białorusinom i licznym Ukraińcom. Odmienność Rosji od Zachodu, szczególnie katolickiego, była podkreślana w terminach religijno-etycznych. Po jednej stronie prawdziwa wiara i czystość serca, po drugiej, zepsuty samowładny kościół i moralny upadek. W naszych czasach to rozróżnienie, a także wybór: Rosja lub Europa, stało się szczególnie jasne dla wszystkich narodowości wyzwolonych w 1989, czy 1991 roku z Sowieckiego Imperium.

Etniczna Polska, która w X w. przyjęła chrześcijaństwo w obrządku rzymskim, była postrzegana jako koń trojański w słowiańskim morzu, jako kraj europejski wnoszący „wroga Rosji” - europejskość - na tereny białoruskiej i ukraińskiej słowiańszczyzny. Jeśli spojrzymy na mapę Europy końca XIX w., pomijając przedkaukazie, to możemy tam naliczyć co najmniej 20 narodowości skazanych przez rządy kilku wielkich państw na los Bretończyków. Jednakże już w 1918 r. większość z nich „wybiła się na niepodległość”. Reszta dołączyła w latach 1989 – 1991. Powtórzmy jednak, widząc dobrze przemyślane posunięcia Kremla i centralistyczną politykę Brukseli, że groźba powtórnej „bretonizacji” nie została naprawdę usunięta i wydaje się obecnie najbardziej zagrażać Białorusi i Ukrainie.

Ukraińcy broniąc się, znowu wychodzą na Majdan i starają się, aby Rosji nie udało się odciąć ich od Europy i zupełnie uzależnienie od Kremla. Czy im się powiedzie, na razie nie wiadomo, ale na pewno można i należy ich podziwiać. Krzyczą na Majdanie, że są europejskim krajem i nie będą klękać przed Putinem. Janukowicz jednak klęczy, a ukraińscy sąsiedzi, zwłaszcza Polska, wydają się - może ze strachu? już niezdolni do gruzińskiego gestu ś. p. Lecha Kaczyńskiego. Zauważmy, że od czasów Bohdana Chmielnickiego ukraińskie zachowania wpływały dość silnie na Białoruś. Czy będzie tak i tym razem? Chciałbym w to wierzyć, gdyż każdy masowy sprzeciw obywatelski na pewno powstrzyma procesy bretonizacji. Wstrząsa młodym pokoleniem, oczyszcza z zasiedziałego brudu sowietyzacji.

Moi białoruscy przyjaciele powiadają, w oparciu o badania statystyczne, że dzisiejsza szkolna młodzież już nie uważa - jak w 1993 r., że do pięciu największych bohaterów Białorusi należą: Imperatowa Katarzyna zwana Wielką, Piotr I i Suworow. Jest to na pewno dobra wiadomość świadcząca o skutecznej walce wewnątrz nauczycielstwa i zawodowych historyków o prawo do własnej, a nie obcej historii. Ale czy oficjalna i dominująca w podręcznikach i mediach ocena okresu II wojny światowej też może skłaniać do optymizmu? Jak duża część młodych Białorusinów jest zaangażowana w walkę o własną obywatelską, a więc suwerenną Białoruś? Spójrzmy na to poprzez mikroskopijny pryzmat Uczelni im. Ryszarda Łazarskiego w Warszawie.

Od 7 lat istnieje tu naukowe Centrum Białoruskie i od 7 lat odbywają się organizowane przez to Centrum w Instytucie Przestrzeni Obywatelskiej, międzynarodowe konferencje gromadzące kwiat opozycyjnej elity Białorusi oraz białoruskich i zagranicznych polityków, historyków, socjologów i innych ekspertów. W Uczelni Łazarskiego studiuje ponad dwustu studentów z Białorusi. Są w Polsce, ale w windach, na korytarzach, studenckich restauracyjkach, rozbrzmiewa język rosyjski, chociaż Rosjan tu prawie nie ma. Co więcej, bardzo rzadko ci białoruscy studenci zaglądną do Białoruskiego Centrum i uczestniczą w obradach kolejnych konferencji, choć ostatnio sytuacja się poprawia. Mamy tu w czasie konferencji malutkie poletko do prowadzenia obserwacji, ale i tak narzucają się przykre obserwacje i konkluzje. Najsilniej uderza brak zainteresowania alternatywą do obecnego *status quo*. Brak zainteresowania i to nawet poza granicami kraju możliwością zaznajomienia się z tymi, którzy chcą inaczej niż domowy autokrata. Czyżby to był jakiś niezwykle dla zwykłych młodych ludzi małostkowy, egoistyczny praktycyzm, czy też jakaś duchowa nieprzystawalność z głosami i indywidualnościami obecnej tutaj opozycji? Warto też zapytać, dlaczego najwyżej 10% studiujących tu Białorusinów odwiedza i bierze udział w pracach Centrum Białoruskiego pielęgnującego język i kulturę kraju. Jednocześnie większość z nich bardzo szybko opanowuje język polski i angielski, a najbardziej energiczni z nich, po otrzymaniu dyplomu ruszają w dalszą drogę na Zachód. Wybór Polski, jako kraju studiów świadczy o tym, że jeśli nie sama młodzież, to większość ich rodziców zdecydowała się świadomie na wybór europejskiej, a nie „właściwej”, domowej, łukaszenkowskiej edukacji. Jeśli tak, to skąd ta młodzieżowa pasywność? Skąd brak ich licznej obecności na naszych konferencjach? Czyżby aż tak wiele czasu poświęcali nauce? lub czyżby nie tylko Łukaszenka, ale też dominująca na rynku krajowym opozycja nie miała im nic godnego uwagi do zaoferowania? Czyżby konflikt Łukaszenki z politycznie różnorodną opozycją postrzegany był jako walka o władzę, czyli wymianę rządzących elit, a nie o oddanie kraju w ręce samorządnych obywateli?

Białoruscy socjologowie, badający i analizujący od wielu lat zmieniające się poglądy populacji Białorusi, udzielają na te pytania różnych odpowiedzi. Niektóre z nich można przeczytać w oficjalnej prasie, ale większość ukazuje się poza oficjalnym obiegiem. Ja przytaczam je tutaj głównie dlatego, że chcę zwrócić uwagę na następstwa, jakie niosą ze sobą dla przestrzeni obywatelskiej i obywatelskiej aktywności centralistycznie kierowane partie polityczne. Możemy na to zagadnienie popatrzeć poprzez doświadczenia polskiej, czechosłowackiej i węgierskiej opozycji. Tuż przed upadkiem komunizmu, odmienne grupy aktywnych opozycjonistów na terenie Polski, Czechosłowacji, czy Węgier współdziałały w ramach ogólnonarodowych komitetów obywatelskich. Po zwycięstwie, a więc po upadku komunizmu, zniknęły komitety

zastąpione przez zwalczające się partie proponujące obywatelom odmienne programy: polityczne, społeczne i kulturalne. Obywatele mieli prawo wolnego wyboru, z którego w demokratycznych wyborach skorzystali. Frekwencja wyborcza bardzo szybko zaczęła spadać i rzadko przekracza 60% uprawnionych do głosowania. Wszystkie partie przekonywały o słuszności własnych programów, wszystkie obiecywały je realizować, ale czy którakolwiek z tych partii chciała i dzieliła władzę z obywatelami? Czy którakolwiek z politycznych partii może zrezygnować z odgórnego centralistycznego zarządzania? Czy którakolwiek na dłuższy okres wprowadziła wewnętrzny rzeczywiście „oddolny” system wyborów chociażby własnych władz? I wreszcie, która z poważniejszych partii wprowadziła w życie prawne instytucjonalno-systemowe zabezpieczenia obywatelskiej nadrzędności nad egzekucyjną władzą? Prawie wszystkie, demokratyczne i liberalne, obiecywały wprowadzenie prawdziwych samorządów i prawdziwych jednomandatowych wyborów do Parlamentu. Ale do dziś w Polsce nie widzimy jednomandatowych wyborów, a w wielomandatowych okręgach wyborczych ludzie głosują na listy układane przez kierownictwo partii. Ludzie zostają posłami, gdyż znaleźli się na liście z woli Donalda Tuska, lub Jarosława Kaczyńskiego. Tak samo zresztą, jak w postkomunistycznej partii Leszka Millera. Powtarza się sytuacja z okresu końca istnienia Rzeczypospolitej, kiedy to „za poleceniem i prośbą do Panów Braci” zgłoszona przez Radziwiłła, Potockiego czy Sapiechę, wybierano posłów na Sejm. W tamtych czasach działały jednak, zarówno w miastach jak i ziemiach i powiatach, lokalne zawzięte walczące o swe uprawnienia samorzady. Teraz samorzady - ta prawdziwa kuźnia obywatelskiego ducha i aktywności - jest wciąż ograniczana. Władza centralna dominuje, a przecież dla wielu obywateli najważniejsze decyzje wpływające na ich życie dotyczą terenu, na którym mieszkają. Im mniejszy dostęp i udział społeczeństwa w tych decyzjach, tym słabsze jest obywatelstwo i tym większa zamiana obywateli w poddanych lub politycznie pasywnych zjadaczy chleba.

Jak dobrze wiemy, wszystkie opozycyjne partie Białorusi starają się być jak najbliższej swych rodaków i współuczestniczyć w rozwiązywaniu ich codziennych problemów. Wiem, że zawsze starają się uczestniczyć w samorządowych wyborach; nie wiem do jakiego stopnia budują swe propozycje na wzorach czerpanych z białoruskiej historii. A przecież sięganie do tych wzorów pozwoliłoby jasno przedstawić, do jakiego stopnia został obecnie zachwiany balans między samorządem a władzą centralną. Do jakiego stopnia na dawnej przestrzeni obywatelskiej rozkrzewił się chwast poddaństwa. Białoruś posiada bogatą i piękną tradycję miejskiego i powiatowego obywatelstwa sięgającą czasów Rzeczypospolitej. Ma też piękne karty walki o odbudowę suwerenności lub przynajmniej narodowego ducha i kultury z pierwszych trzydziestolecia XX w. Ma „zapomnianą” dramatyczną historię wsi zachodniobiałoruskiej starającej się bronić i przeżyć okrutny czas maszerującego na wschód nazizmu i wyniszczający ją do szczytu czas maszerującego na zachód komunizmu. Sowieci zniszczyli tradycyjną zachodniobiałoruską wieś. W 1991 r. nowa suwerenna władza nie poświęciła skończonowanej wiejskiej ludności zbyt wiele uwagi. Brzmi to nieładnie, ale polityczne elity wiedzą (w sposób bardziej prosty niż Platon), że „dla dobra sprawy” należy kierować masami i załatwiać ich sprawy dla ich dobra, ale bez ich samolubnego udziału. W ten sposób wieś i ludność wiejska i kołchozowa zostały poza nawiasem najistotniejszych momentów demokratycznej transformacji. W Polsce ta polityka

(Balcerowicz) zaowocowała Lepperem, na Białorusi zaniechanie skorzystania z czeskiego modelu ułatwiło karierę polityczną Łukaszenki.

Od wieków zwalczające się wśród elit frakcje i stronnictwa jak i następnie wszystkie partie polityczne posiadały jedynie słuszne programy i wzywały elektorat do ich poparcia. Jednakże my „normalni ludzie” rzadko jesteśmy w stanie zamknąć nasze poglądy w ramach tych partyjnych programów. Często chcielibyśmy nasze poparcie rozdzielić powiedzmy tu 65, tam 25, a jeszcze indziej 10 procent. Nawet w kraju, który od dwudziestego wieku jest „pod władzą” jednej z dwóch partii „republikanie” „demokraci” to zauważamy trudność stuprocentowego poparcia tylko dla jednej partii. Często ludzie zwykle głosujący na demokratów w wyborach na prezydenta głosują na republikanina. Tę zmienność poparcia widzimy nie tylko przy prezydenckich, ale i gubernatorskich wyborach. W systemach wielopartyjnych, wyborcy otrzymują bez porównania bardziej zróżnicowane i szczegółowe programy niż w USA, ale też dzięki temu bardzo rzadko mogą lub chcą w 100% popierać proponowane rozwiązanie wszystkich stojących przed krajem problemów. Bardzo często zamiast głosować na partię, którą tylko częściowo popierają, rezygnują z głosowania. Oddają innym możliwość decydowania o ich losie. Przypuszczam jednak, tym razem na podstawie doświadczeń z USA, że nikt z obywateli nie jest skory do zrezygnowania z udziału w wyborach burmistrza, szeryfa lub (dla wielu rodziców najważniejsze) szefa powiatowego, czy miejskiego systemu edukacji. Walka o prawdziwy samorząd oddający podstawowe decyzje lokalne w ręce obywateli mogłaby stać się podstawowym hasłem wszystkich partii naprawdę demokratycznych. Nawet jeśli w wyborach samorządowych wygra (w ten lub inny sposób) łukaszenkowcy czy zwolennicy z prawa lub lewa, to i tak jest to zwycięstwo dające szansę odrodzenia się obywatelstwa. Samorządowcy Czech, Słowacji, Czech czy Węgier prowadzą walkę z każdym z kolejnych rządów o zwiększenie ich prawdziwych uprawnień. Wciąż mają mniej władzy i prawdziwego obywatelskiego znaczenia niż samorządowcy Szwajcarii, Anglii lub USA. Są jednak kuźnią obywatelskiego ducha i obywatelskiego modus operandi. Nie zapominajmy, że to obywatele zakładają i prowadzą polityczne partie, ale obywatele rodzą się w walce o swe codzienne podstawowe ludzkie prawa i o prawo decydowania o losach swych dzieci, swego domu, ulicy, dzielnicy, wsi czy miasteczka.